

Pisał się dzień 26. 2011 roku. Dzień w którym my, jako uczestnicy psychotreku dzięki Mofikowi oderwaliśmy się na 3 dni od rzeczywistości. Wszystko to zaczęło się na rynku w Cieszynie o godzinie 15:00, gdzie mieliśmy się zejść (już tylko samo miejsce wskazywało na nietypowość tego treku). Niestety, nie wszystkim było dane zdążyć na czas – dowodem na to jest właśnie ta kronika, która jest pewnym rodzajem „wynagrodzenia” za oryginalność co do punktualności. Z rynku przesunęliśmy się na dworzec PKS i polskim autobusem przenieśliśmy się do miejscowości Brenna Leśniczówka.

Konkrety wyprawy nie były nam zdradzone, pomimo to zapowiadała się niezła przygoda. Ruszyliśmy w górę po całkiem stromej drodze w kierunku Starego Grónia, gdzie jednak nie zatrzymaliśmy się. Mimo to, iż już się ściemniało, dalej kontynuowaliśmy wędrówkę ku Baraniej Górze. Po drodze zatrzymaliśmy się przy jaskini, gdzie Kaja, Władek (i inni) z całego serca pragnęli przenocować, ale w ramach solidarności wobec reszty naszej „B-eczkowej” psychogrupy (która prawdopodobnie nie odważyłaby się spędzić nocy w tej ciasnej czarnej dziurze), nie opuścili nas i szliśmy razem dalej. Po ciemku, ociężale dotarliśmy do przez nas wybranego miejsca przeznaczonego do spania. Pierwszy dzień zakończyło psychoognisko usytuowane (z powodu strachu przed leśniczymi) pod niedaleką skałą. Program ogniska tworzyła zainicjowana przez Mofikę dyskusja na temat: „Na co przeznaczilibyśmy jako akwarki otrzymanych 20 tys Kč”. Możliwości były różne, jednak decyzja była prawie jednoznaczna – sprzęt drużynowy... Po gorliwej debacie zdecydowaliśmy ułożyć się spać, ponieważ nazajutrz czekał nas wyczerpujący dzień. W nocy, jak na wrzesień, było stosunkowo zimno – niektórzy „klepali kose”, więc nasz kochany Mofik zrobił nam poranną herbatkę do śpiworów. Po herbatce i śniadanku wyruszyliśmy w dalszą trasę. Koło południa dotarliśmy do Baraniej Góry, gdzie nie mogliśmy nacieszyć się przepięknym krajobrazem z wieży widokowej. Z góry widać było dotąd przez nas nieprzebytą trasę, która wywołała w nas trochę demotywujące uczucia, ponieważ nikomu nie chciało się wierzyć, że przed nami jeszcze taka długa droga (o tyle większa potem była satysfakcja





ostatniego dnia, po pokonaniu całej trasy, kiedy powiedzieliśmy sobie: "Só m my dobrzy partyjo"). Z Baraniej Gó ry kontynuowaliśmy naszą tułaczkę po polskich Beskidach w kierunku Stożka. Po drodze zrobiliśmy sobie przerwę przy chacie Kubalonce, gdzie największą atrakcją były śmiełniki na kó łkach, z któ rymi robiono zawody jeźdźcó w w śmiełnikach siedzących. Wieczorem wreszcie dotarliśmy na Stożek, gdzie przed chatą witała nas fioletowa krowa Milka. Wpadliśmy do środka na herbatę. Na chacie Władek stwierdził, że zapomniał sobie spakować łyżeczkę, jednak znowu potwierdziła się stara prawda, że „Opcio k” poradzi sobie w każdej sytuacji. Wspomnianą łyżeczkę sobie na dłuższy czas wypożyczył, zaprzysięgając, iż przy przyszłej wizycie Stożka łyżeczkę odda. Pytaniem pozostaje – czy uda mu się dotrzymać słowa? Pó źniej nastąpiła gra p.t. „szukanie ogniska”, któ rego położenie według wskazó wek bufetowej trudno było zlokalizować. Zwycięzcą został Stasiek, któ ry ognisko znalazł. Po rozpaleniu ognia nastąpił ponowny psychowieczó r, któ rego myślą przewodnią były następne dwie dyskusje tym razem na bardziej ambitne tematy odnośnie kwestii darowania życia. W pierwszym wypadku mieliśmy wżyć się w rolę kardiochirurga, decydującego się między 8 możliwościami transplantacji, mając tylko jedno serce do dyspozycji. Druga debata dotyczyła ofiarowania swego życia, ratując tym 3 dalsze (nie znane nam) osoby. Wreszcie nastał czas snu. Snu, któ rego smak tylko niektórzy dostali łaskę poznać w pełni, bowiem Darek jako zawzięty tancerz postanowił zrezygnować z ostatniego dnia trekku dla swojej pasji, by nie zaprzepaścić kursó w tańca i tym samym nie zawieść swojej wiernej partnerki (nie mniej wierny swej partnerce był także Hugo, któ ry dla niej poświęcił biwak już od momentu przechodzenia przez Wisłę, odjeżdżając autobusem). Z kolei Darkowi oddany brat Tomasz postanowił towarzyszyć we wczesnoporannej drodze powrotnej do Nieboró w. Reszta nas pogodnie wypoczęła przed dalszym dniem i kontynuowała wędró wkę w kierunku drużynowego skarbu gorliwie odliczając stopniowo malejącą ilość pojawiających się słupkó w. Po osiągnięciu celu i dokonania „przez skarb wymaganej tradycji”, azymutem ruszyliśmy w kierunku Nydku, niechcący depcząc ogró dek pewnego trochę wkurzonego z tego powodu emeryta. Z Nydku pomyślnie wró ciliśmy do domu, pełni zachwytu i entuzjazmu. Dziękujemy Mofikowi, było ekstra...

Mateusz Fajkus i Alicja Ryłko

